№ 6. 6. Lutego 1898.

TYDZIEŃ

Dodatek Literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Przyczynek do kwestji spornej.*)

II. Na jedno jeszcze niezmiernie ważne pytanie odpowiedzieć musimy. Czy młodzież powinna już na uniwersytecie brać udział w życiu praktycznem i walce stronnictw? Stanowczo nie! Dlaczego? zaraz powiemy. Ponieważ młodzież nie jest żywiołem jednolitym, lecz reprezentuje wszystkie prawie klasy i warstwy społeczne, przeto biorąc czynny udział w życiu, rozpadłaby się od razu na wiele wrogich sobie obozów, przez co choćby jedną niepowetowaną poniosła stratę, stratę życia koleżeńskiego, tego nieocenionego skarbu młodzieży. Po drugie zaś walka stronnicza zaślepia i że się tak wyrażę trywialnie „zacietrzewia“, przez co traci się wszelką przedmiotowość i możność bezstronnego o rzeczy sądu. W tych warunkach młodzież nie potrafiłaby pracować nad wyrobieniem sobie własnego zdania o procesie społecznym. Za to stojąc poza wszelkiemi stronnictwami, może młodzież całkiem bezstronnie zapatrywać się na wszelkie walki i utarczki, a potomek rodu szlacheckiego potrafi zrozumieć interesy i potrzeby „chama“, syn fabrykanta zdoła sympatyzować z emancypacyjnym ruchem stanu [illegible]go, a na odwrót włościanin i robotnik zrozumieją, że nie wszyscy „panowie“ kwalifikują się na jedną gałęź. Do tych wyników dojść można jedynie po za walką stronnictw, rozpatrując każdą sprawę nie namiętnie, z punktu widzenia zasadniczego, ogólnoludzkiego. Za to niech młodzież wydaje z pośród siebie stronnictwa naukowe, teoretyczne, walczące ze sobą argumentami, pracami naukowemi, odczytami, zgromadzeniami, dyskusjami i t. d.

Inna jeszcze okoliczność przemawia przeciwko czynnemu udziałowi młodzieży w codziennej walce stronnictw, mianowicie, że młodzież gorąca i niedoświadczona daje się wprost nadużywać w celach częstokroć niskich. Stronnictwa, pragnące pozyskać dla siebie młodzież, schlebiają jej, przelicytuwują się w pochlebstwach dla jednych, w naganach dla drugich. Rola taka nie godna jest światłej młodzieży uniwersyteckiej, która nad rozwojem samodzielności myśli i niezawisłości charakteru przedewszystkiem pracować powinna.

Jest atoli pewna sfera działania, w której młodzież nie tylko czynnie występować powinna, ale nawet obowiązkiem jej jest podejmować inicjatywę i przodować społeczeństwu. Młodzież to powinna obchodzić uroczyście, jako swoje specjalne święta, rocznice wszystkich wielkich, doniosłych wypadków w dziejach ludzkości; powinna czcić szczególnie wszystkich geniuszów ducha i myśli, którym zawdzięczamy to wszystko, co jest wiecznym skarbem i wieczną dumą ludzkości; młodzież powinna składać hołdy naszym wielkim bohaterom narodowym, wznosząc im trwałe pomniki w sercach i umysłach swoich. Tego rodzaju demonstracje są niejednokrotnie jeżeli nie zawsze czynami.

A któż, jeżeli nie młodzież winna stanowić rdzeń armji o królestwo światła dla szerokich mas walczącej. W Galicji n. p. „starzy“ wzięli sobie poważnie do serca obowiązek dania oświaty ludowi. „Młodzi“ nie tylko winni ich w pracy tej co najusilniej popierać, ale starać sią w szlachetnej emulacji prześcignąć. Naprzód więc obowiązkiem jest należenie do towarzystw oświatę ludu na celu mających dla materjalnego ich poparcia; po drugie winnaby młodzież czy przekładami czy oryginalnemi o ile możności pracami zasilać tyle ważne i pożyteczne wydawnictwa ludowe; nareszcie winna młodzież szukać bezpośredniego zetknięcia z ludem miejskim czy wiejskim i zorganizować instytucję odczytów, wydać z pośród siebie prelegentów i tak żywem słowem oświatę wśród szerokich mas szerzyć. Dla uniknienia zaś zarzutu agitacji i konfliktu z władzami, można wystrzegać się pilnie wszelkich drażliwych tematów, pozostawiając je innym. I tak w stowarzyszeniach rzemieślniczych czy robotniczych nie mówić o kwestji socjalnej, o walce kapitału z pracą i t. d., lecz ograniczyć się do wykładów z zakresu nauk przyrodniczych, filozofji, historji, literatury. W czytelni ludowej unikać stosunku dworu do chaty, politycznego stanowiska ludu, jako budzącej się do życia klasy społecznej, a za to mówić o wszystkich działach gospodarstwa i

---

*) Otworzyliśmy łamy naszego pisma dyskusji w sprawie młodzieży dla oświetlenia kwestji z rozmaitych punktów. Wychodząc z tego założenia, umieszczamy i takie zdania, które się różnią od naszego poglądu. *(Przyp. Red)*

przemysłu wiejskiego, o pijaństwie, lichwie, pokątnych pisarzach i tylu innych jak najżywotniejszych sprawach ludu naszego.

Niech mi nikt nie czyni zarzutu ciasnoty, trwożliwości i zalecenia młodzieży, aby się liczyła z względami natury utylitarnej, które bądź co bądź też pod uwagę powinny być wzięte. Do powyższego ograniczenia dwie skłaniają mnie przyczyny: po pierwsze wskazany program pracy z ludem i dla ludu jest wspólny wszystkim stronnictwom, a więc młodzież realizując go nie będzie potrzebowała zapisywać się pod żadne sztandary; po drugie zaś teoretyczne roztrząsanie zagadnień polityczno-społecznych i praktyczne zetknięcie się z ludem wiejskim czy miejskim, da możność dokładnego, przedmiotowego poznania sprawy, dla której młodzież już, jako obywatele, w myśl wyrobionych przekonań pracować będzie. Lata uniwersyteckie są epoką tak fachowego, jak i społecznego kształcenia się. Jak medyk bez dokładnego poznania organizmu ludzkiego i praw jakim podlega, bez poznania chorób i środków leczniczych nie zabierze się do terapji, bo zamiast pomódz szkodę by pacjentowi przyniósł, tak młodzieniec bez poznania społeczeństwa, praw niem rządzących, braków i środków poprawy nie powinien zabierać się do reformowania, bo miasto naprawić gotówby przy najlepszych chęciach popsuć. Co można zarzucić temu rozumowaniu w zwyczajnym wypadków biegu?

Zresztą uświadomienie społeczne tyle sił całkowicie zaabsorbuje, że o czynnym udziale w walce stronnictw i mowy nie będzie. Młodzież w jednym tylko wypadku musiałaby opuścić pole pracy teoretycznej i uderzyć „w czynów stal“, to jest wtedy, kiedy naród cały zechce dać najsilniejszy praktyczny wyraz swych patrjotycznych aspiracji. Wówczas przykład podchorążych powinien znaleść tylu naśladowców, ilu ich w danej chwili księgi uniwersyteckie naliczą. Program pracy powyżej przezemnie nakreślony, odsłoni przed młodzieżą najdalsze i najpiękniejsze horyzonty, a wszytkie nowsze czy starsze byle uczciwe idee, będą niezawodnie odczute sercami i zrozumiane mózgami młodzieży!

Przy takim programie powstanie młodzież gorąca, szlachetnych porywów i zapałów pełna, do bohaterskich czynów zdolna, a odrodzenie duchowe naszego społeczeństwa i narodu będzie przyrodzonym tego procesu owocem! *Wojciech Szukiewicz.*

Żydzi o kwestji żydowskiej.

V.

W dalszym ciągu swych uwag, dr. Caro motywuje szczegółowo swój surowy sąd o żydach współczesnych. „Współczesne stosunki ekonomiczne wykazują cały szereg niemiłych zjawisk, który każdy bezstronny badacz nazywać musi szkodliwym społecznie. I właśnie te zjawiska przydają głębsze znaczenie ruchowi antysemickiemu. Gdyby nie żydowscy lichwiarze, nie żydowscy giełdziarze, nie żydowscy kupcy bogacący się bankructwami (Pleitemacher), nie żydowscy gazeciarze — oczywiście nie wszyscy, ale tylko sprzedajni — to istniała by bezstronna opinja publiczna, z obu stron niezamącone rozróżnianie dobrego i złego, to nie byłoby i antysemityzmu, lub przynajmniej nie miałby on żadnego znaczenia społecznego“. Autor przytacza dalej cyfry ze statystyki kryminalnej, stwierdzające, że w ciągu lat 7 pomiędzy karanymi za lichwę w całej Austrji było 63, w samej Galicji 87.5 procent żydów. Li-

Dwa Laury

przez

Helenę Ceizingerównę.

(Dokończenie.)

Obraz trzeci:

Do ataku! Lecą. Słońce przegląda się w dobytych pałaszach, wichry całują im rozognione twarze.

Poznaję cię chłopcze jasnowłosy! Z pieśnią, z uśmiechem szczęścia na ustach, zuchwały, hardy jak zawsze, pędzisz... W tan, w tan! Bóg z tobą chłopcze! Od szczęśliwej twarzy pierzcha wróg.

Twój brat za tobą. Wielkim, świętym ogniem natchnienia płoną mu czarne źrenice. On nie jak na gody, on jak kapłan idzie do boju. Ha, lećcie, lećcie, lećcie anioły bitw, „skrzydlate duchy burz“!...

* * *

Ostatnim wysiłkiem,, ostatnim gniewu porywem biją się. Już tylko kilku ich zostało. Trupy bratnie dokoła i wrogów zastępy... Piękny chłopcze, gdzie twoja pieśń zapału? Tyś brata własną młodzieńczą piersią zasłonił, a wróg ją przeszył bagnetem i teraz zwisłeś w jego ramionach, jak kwiat podcięty. Jeszcze pogoda nie ustąpiła ci z czoła, jeszcze się na niem marzą ukochanej pieśni wyrazy. A ta, co twego powrotu tam czeka? Nie pomyślałeś o niej w chwili śmierci, bohaterze młody!

* * *

Klęska! Klęska! Szczęśliwi ci, co tam na pobojowiskach zostali! Niezapominajki ich łożyskiem, świeży wicher polny pieszczotą. Tyś nie pozostał. W lochu ciemnym cię zamknięto, żebyś karę odebrał za szlachetnych porywów zuchwalstwo. Kropli krwi nie pozostało ci w twarzy. Długich, nieprzeliczonych dni więziennych ślady wyryły ci się na czole woskowej barwy, na ustach, gorączką spalonych, w oczach, jak dwie gromnice gasnące, ostatnim blaskiem błyszczących.

Do czego tak rękę z upragnieniem wyciągasz? Ach tam na korytarzu postać wysmukła, cudnego blasku i żałoby pełna, postać ukochanej twego brata. Widzisz, przyszła do ciebie! Przyniosła ci na bole i męki twoje, lekarstwo. Nóż ostry, błyszczący, ci

chwie poświęca dr. Caro parę uwag bardzo zajmujących, lubo nie wyczerpujących tematu; wkrótce jednak ukaże się poświęcone temu przedmiotowi jego obszerne dzieło, które będzie można powiedzieć, pierwszą pracą ściśle naukową, wyświecającą tę zawiłą sprawę; już teraz zaznaczyć się godzi, że prawie połowa tego dzieła poświęconą będzie stosunkom galicyjskim, które tym sposobem okażą się klasycznym gruntem dla studjowania lichwy, tak jak nprz. dla Marksa Anglja była klasycznym gruntem dla studjowania rozwoju i typowych zjawisk produkcji kapitalistycznej.

„Na podstawie statystyki kryminalnej — kończy swe wywody w tym przedmiocie dr. Caro — dochodzi się, nie będąc wcale antysemitą, do tego smutnego wniosku, że żydzi wszędzie dostarczają bardzo znacznego kontyngentu zbrodniarzy z żądzy zysku, kontyngentu daleko przewyższającego ich liczebny stosunek do ogółu ludności. Każdy sędzia, każdy adwokat, znający te rzeczy z własnej praktyki, nietylko to potwierdzi, ale także podziwiać będzie zręczność, z jaką żydzi umieją wyśliznąć się z pułapki, gdy się było już bliskiem ich uchwycenia“.

Również stanowczo potępia dr. Caro gospodarkę żydów na giełdzie, która „wyrządza ogromne, nieobliczalne spustoszenia w majątku narodowym. Przytacza on w tym względzie słowa posła Laskera (również żyda), który w r. 1873 w parlamencie niemieckim mówił: „Giełda jest szkołą, w której ludzie uczą się omijać ustawę, jest akademją dla przekroczeń ustawy, gdzie chodzi o łatwy zysk“. Tak samo twierdził i Strousberg z własnej praktyki: „Interes ażjotaży w ogóle, a zwłaszcza przy grynderstwach daje renomowanym, uczciwym bankom legalne środki do obrabowania publiczności“. Jako ilustracje zgubnej żydowskiej gospodarki giełdowej przytacza autor krach 1873 a także znaną panikę giełdową w r. 1891, stworzoną sztucznie przez przekręcenie słów cesarza, wyrzeczonych poufnie do posła Jaworskiego.

Sojusznikiem giełdy jest prasa, która w ten sposób musiała stać „jej chwalcą, jej płatnym, ale nie mniej przeto wiernym lokajem. Stąd też poszło, że żydzi w wielu krajach opanowali prasę. Jak sprzedajną i kłamliwą jest ta prasa, jak gorąco broni wbrew lepszemu przekonaniu skrachowanych doktryn manczesterskich, jak sztucznie w swej kuchni czarodziejskiej umie przygotowywać wzburzenie, zapał, obojętność, nienawiść i wzgardę stosownie do potrzeby i żądań giełdy, jak zręcznie zamiast dowodu podsuwa frazes, szyderstwo, intrygę, obelgę lub milczenie — to wszystko są zjawiska znane, takie, które antysemityzmu nie tylko nie usuną, ale przysparzać mu będą ciągle nowych zwolenników nawet pośród uczciwie myślących żydów“.

To samo odnosi autor i do kupców żydowskich. „Codzienne doświadczenie poucza nas, że kupiec chrześcjański jest przeciętnie uczciwszy od żydowskiego, a statystyka kryminalna wykazuje między żydami daleko więcej zbrodni z żądzy zysku, niż by się to od biedy dało objaśnić ich udziałem w stanie kupieckim. Chrześcjańscy giełdziarze i sprzedajni dziennikarze, nawet absolutnie licząc, są w znikającej mniejszości wobec żydowskich“.

To są główne punkty tej djagnozy, jaką przeprowadza dr. Caro, oddaliśmy je przeważnie własnemi słowami autora i przyznać musimy, że djagnoza ta jest świetną i trafną. Ująć jej niczego nie można, dopełnić ją możnaby w niejednym punkcie. Uczynił to po części dr. Kleczyński w swej recenzji omawianej tu pracy (Przegląd polski, grudzień 1892), wskazując na szkody, jakie przyczynili żydzi swą nieuczciwością naszemu przemysłowi naftowemu, jaki rozwój i jaką demoralizację wnieśli w ne-

---

podaje. Strażnik więzienny odwraca głowę, udaje że nie widzi. Pożegnaj ją i weź nóż!

O dziewczę, któregoś ty z tych dwóch kochała?! Tamtemu dałaś pierwszy twój dziewiczy pocałunek, temu niesiesz sztylet, który zmęczone ciało od męki i hańby ocali, który wolną jego duszę, czystą, nieskalaną, przed tron Boga zaniesie!

Któregoż ty z tych dwóch kochałaś?

* * *

Gorejące oczy wzniósł do góry. Na twarz już trupia wystąpiła bladość, te oczy jedne żyją, żyją całą siłą nagromadzonego w nich wyrazu. Jest tam i blask nieziemski, ale jest i żal, jest i ból; aleź bo on na tej ziemi czcił i kochał tak wiele, a wszystkie swoje wiary i miłości zabiera z sobą i odchodzi wrzący, jak był za życia.

Ręka szczupła, wychudła, wciska w piersi morderce żelazo. Krew strugą czerwoną wypływa mu z rany. Płyń krwi męczeńska! W proch padam przed tobą! Boże, bierz sobie tę duszę! Czy Ci nie dosyć piękna, czy Ci nie dosyć święta?!

* * *

Już po wszystkiem, już tylko mogiła! Leżą w niej obydwaj, a ty matko przyszłaś dzieciom swoim wieniec położyć! Przyszłaś i ty siostrzyczko ich smutna! Jak lilja złamana, tak ty chylisz się na ich mogile. Łamiesz ręce i warkocze twoje złote pieszczą ich grób zielony. Wszystko, prawda, wszystko twoje tam pod tą mogiłą? I ten młodzieńczy, jasnowłosy brat twego dzieciństwa i tamten święty zakonnik boży! Obydwaj, dziewczyno!

Matka? Ta rąk nie łamie i łez nie leje. Wawrzyn przyniosła im na grób! Kto w zakonie bożym umiera, temu łez nie trzeba. Laur i palma!

* * *

Jak w gorączce biegłam wzrokiem od obrazu do obrazu, pochłaniając duszą myśl każdego, aż nagle na tej mogile urwało mi się wszystko. Teraz ten większy, ostatni. Cóż ja tam znajdę jeszcze?

Buduar kobiety, czy gabinet eleganckiego mężczyzny? Czerwone portjery przyćmiewają światła blask zbyt jaskrawy, miękkie dywany głuszą szelest kroków.

Co za półcień drażniący, rozkoszny, jak w nim nikną wszystkie ostrzejsze kontury, jak zlewają się

sze stosunki autonomiczne po miastach i po miasteczkach, gdzie im się udało zdobyć przewagę. Od siebie dodać możemy, że to samo, co z przemysłem naftowym, stało się w ogóle z całym naszym handlem. Jeżeli już w ogóle moralność kupiecka jest kwiatkiem o niezbyt różowej woni, to nasza specjalna galicyjska „moralność tarnopolska“, cieszy się w świecie kupieckim ogólną i wcale niepochlebną sławą. Zręczność w obchodzeniu ustaw, którą Lasker windykował dla giełdy, w naszych, galicyjskich żydach ma mistrzów niezrównanych. Spryt żydowski w korumpowaniu prasy jest tylko bladą kopią tego sprytu, jaki rozwijali od dawien dawna żydzi galicyjscy, zwłaszcza w czasie rządów absolutnych, przy korumpowaniu wszechwładnych wówczas urzędników. Wszakżeż wiadomo, że w każdem mieście, w każdem miasteczku żydzi mieli wówczas (i znacznie jeszcze później) specjalne listy urzędników, a obok każdego spisaną sumę jego długów i taksa, za jaką go kupić można. Podobne praktyki dziś jeszcze mają istnieć w Rosji. Wszakże wiadomo, że w czasach nawet najsurowszych i nieskazitelnych rządów sprzedajni urzędnicy, którzy za nic w świecie nie byliby wzięli łapówki od chrześcjanina, brali ją z rąk zaufanego żyda, który w taki sposób dla chrześcjan był instancją pośredniczącą.

Wracając do broszury dra Caro powiedzieć musimy jeszcze raz, że pierwsza jej połowa, streszczona przez nas, przeważnie djagnostyczna, jest tego rodzaju, że każdy nieuprzedzony, żyd czy chrześcjanin, zgodzić się na nią musi. Nie wątpimy też, że badania statystyczno-ekonomiczne naszych stosunków krajowych, gdyby były w tym kierunku systematycznie prowadzone, dostarczyłyby masy materjałów stwierdzających i uzupełniających tę djagnozę. Przypatrzmy się teraz, jak wyobraża sobie dr. Caro terapję stosunków żydowskich? *I. Franko.*

Budownictwo ludowe na Podhalu.

Dopóki prace ściśle naukowe, zwrócone w kierunku zbadania i opisania budowli, nie mogą być ze skutkiem praktykowane na szeroką skalę; dopóki konstrukcja, chociażby najskromniejszych pomysłów, ale rzetelnie odpowiednia celom, którym służy, nie przestanie nas interesować, póty książki, w rodzaju tej, którą ostatniemi czasy wydał znany lekarz warszawski, Wł. Matlakowski, będą pracami wielkiego pożytku i interesu.

Spora przymieszka opisów, mających znaczenie raczej w etnografji, dziwnie piękny język i gorący temperament pisarski autora, prowadzą go do zachwytu wobec przedmiotów i myśli, nie mających bezpośredniego związku z techniką.

Z tego też pewno powodu książka owa opowiada nietylko o konstrukcji budowli podtatrzańskich. Wyraziście i pięknie opisany jest w niej mieszkaniec owych chat i właściciel tych sprzętów gospodarskich, posiadających wszystkie sympatje autora, a cechy miejscowej, starej, zaskrzepłej i „konającej“ już cywilizacji.

To, co odnosi się ściśle do budownictwa, przedstawione jest nietylko sumiennie i drobiazgowo, lecz nader systematycznie. A więc traktat rozpoczyna się technologją materjału budowlanego. Gatunki drzewa, miejscowości — gdzie rośnie, kształty jego — gdy żyje, a potem sposoby obrabiania i użytku — gdy zostało ścięte; wszystko to jest przedmiotem szczególnej uwagi i zamiłowania autora. Zakopane i sąsiednie okolice są skrupulatnie przepatrzone przez W. Matlakowskiego. Zrobił on kompletny inwentarz znakomitszego materjału drzewnego, jaki się jeszcze koło chat znajduje, a opatrzył go bardzo bystremi

---

i łączą ze sobą! Ten pokój to rozkosz dla zmysłów, mieszkanie sybaryty dziewiętnastego wieku.

Wyobrażam go sobie, jak w gorące popołudnie, w półśnie tu spoczywa. Lekki szmer u drzwi... to portjera się uchyla, to szelest sukni... on słyszy, ale nie otwiera oczu — to oczekiwanie jest rozkoszne — szelest się zbliża i... ale nie malujmy na własną rękę! Ten sybaryta, co tu usiadł w rogu miękkiej kanapki. nie oczekuje na nikogo. Pochylił głowę i ukrył twarz w rękach, a w tej schylonej postawie taka jest boleść widoma, iż przysiągłbyś, że łkanie rozpaczy rozrywa mu męzką pierś. Ktoś ty? Te pukle włosów... te dłonie białe...?

Poeto-malarzu! Gdyby ten, bólem złamany, opuścił ręce, czy nie twoje blade, szyderskie oblicze wyjrzałoby z poza nich? I czemuś je zakrył, artysto? Czemuś je zakrył w chwili, gdy najpiękniejszem być musiało, gdy strumień łez żywych zmył jad sztucznego sarkazmu z subtelnych, wązkich, warg twoich?! Ty płaczesz człowieku! Płaczesz za tem, co — wiesz dobrze — nigdy ci się inaczej, jak marzeniem sennem nie zjawi! Nie dla ciebie bohaterów lot, ni męczennika ekstaza, nie dla ciebie nawet młodej miłości czar! Wina w tem twoja i nie twoja. Duch czasu winowajcą! Śmiej się! Śmiej zjadliwie z lauru, który włożono ci na skronie!

Nie wiele zdążyła jeszcze dorzucić do skarbca literatury rodzimej młoda autorka, której imię od niedawna stało się znanem, dzięki zwycięstwu, odniesionemu na turnieju dramatycznym; ale to, co wyszło z pod jej pióra, posiada b'ask i wartość złotej monety. Taką monetą złotą jest i niniejszy obrazek. Jaki świat myśli i uczuć budzi w czytelniku ten genialny artysta! Dziecię dni dzisiejszych, dni zwątpienia i rozczarowań, potrafi on jeszcze odtworzyć na płótnie w przebłysku twórczego natchnienia bohatera i męczennika z niedawnej przeszłości, ale sam umie już tylko płakać bezsilnie nad sobą i szydzić z ofiarowanych sobie laurów. Jaką muzyką rozbrzmiewa silny i pieściwy język autorki, jaśniejący przepychem romantycznej szkoły, przypominający dalekiem, milknącem echem prozę-poezję „Irydjona“.

(Przyp. Red.)

spostrzeżeniami. W tej drobiazgowości opisu i spisu prawie gubi się czytelnik i chwilami jedynie owa barwna i prześliczna mowa autora ratuje książkę: w żadnym dziale nie jest ani suchą, ani nudną.

Po technologji następuje konstrukcja. Przedmiotem głównym jest chata włościańska, wzięta jako całość skończona, typowa pod każdym względem, całość, która w swoich kształtach dziś już mija i po odrobince zaciera się w powodzi form nowych, narzucanych z siłą, trudną do zwalczenia.

Opis konstrukcji chaty i budynków gospodarskich, nazwy właściwe każdej konstrukcyjnej części składowej, wszystko to zrobione ze ścisłością i gruntowną znajomością przedmiotu. Opisy poparte są dobremi rysunkami, bez których książka techniczna nie miałaby wielkiego znaczenia.

Na tych kilku słowach możnaby zakończyć wzmiankę o książce Wł. Matlakowskiego. Dla ścisłości można jeszcze wspomnieć o błędach, jakie wkradły się do rysunków. — Gdzież ich nie ma w naszych robotach?... Widocznie też wzgląd na oszczędność w kosztach wydawnictwa ograniczył do *minimum* posługiwanie fotografją. Lecz dźwięczy w tej rozprawie jeszcze jedna struna, która targana chwilami ostro i potężnie, nadaje rozprawie technicznej, pod pewnym przynajmniej względem, charakter broszury polemicznej. Ta to właśnie część książki, a raczej miejscami wychylające się niespodzianie ustępy obudziły ku sobie nieuzasadnioną niechęć i przesadne gromienie.

Pozwólmy dr. Matlakowskiemu marzyć, że kiedyś inteligentna część ludności polubi te archaiczne formy konstrukcyjne, które on z taką miłością opisuje. Trzeba przyznać, że nie on pierwszy na to kazanie zadzwonił. Lecz on to, co było tu i owdzie poruszane porywczo i nie ze strony technicznej do gruntu zbadał, usystematyzował, wyrysował i jako całość wybornie skończoną, do wiadomości ogółu podał. Nasi artyści malarze, a z pomiędzy nich najsilniej S. Witkiewicz od dawna zwracali uwagę publiczną na budownictwo Podhalan, na ozdoby ich sprzętów domowych.

Nie umiałbym szeroko opisać, a nawet wyszczególnić olbrzymiej sumy prac, w tym kierunku zwróconych, w krajach ościennych. Wspomnę tu jedynie, że zdarzyło mi się widzieć część robót takich, wydawanych przez Akademję umiejętności węgierską, tudzież przez Akademję sztuk pięknych wiedeńską. Są to rysunki ogromnych rozmiarów, wykonywane z wielkim nakładem starania i talentu, często pod kierunkiem takich profesorów, jak Fr. Schmidt. Otóż między niemi zauważyłem rysunki Schulcz Ferencz'a kościółków z drzewa, z podgórz karpackich (Sziner Varalia), które konstrukcją swoją stosowały na wielką skalę to, co charakteryzuje chaty Podhalan.

Styl, czyli sposób budowania nie powstaje nagle, ani w danym kraju, ani okolicy. Przemijające mody zdobienia budowli i sprzętów nieraz niesłusznie mianujemy stylami; stąd częste w dysputach o tym przedmiocie nieporozumienia. Lecz gdyby zażądano odpowiedzi, jak należy wybudować dom z drzewa w Zakopanem, to grzechem byłoby, gdybyśmy, znając dzisiaj konstrukcję logiczną, typową i w swoim rodzaju ozdobną, radzili uciec się do sposobów nieswojskich, nieraz nieodpowiednich. Kto raz jeden w życiu miał sposobność przebudzić się wczesnym rankiem w zakopańskiej chacie i widzieć wnętrze izby, zmienione promieniami słońca w przybytek ze szczerego złota, grającego na gładkich jak politura, konstrukcyjnych płazach ściany, ten z pewnością przyzna wyższość uwidocznionej konstrukcji budynku nad powierzchownem zdobieniem.

Dyktować je może chyba oszczędność jedynie, lub zwietrzała rutyna. *Józef Dziekoński.*

MODUS IN REBUS.

Obrazek z życia wiejskiego

przez

ADOLFA DYGASINSKIEGO.

(Dokończenie.)

— Jeżeli on mnie zobaczy w Biedrzeńcu we dworze -- rozumował Gold — to się z pewnością przelęknie, żebym o nim różnych rzeczy nie opowiedział, a jak się przelęknie, to dług może zapłacić. Wywiadywał się więc teraz przez Icka Drukarza, kiedy Wyszmoński pojedzie za Palicę do swej narzeczonej. Niedługo też dano mu znać, że pan Ryszard nazajutrz wyjedzie. Gold .czemprędzej puścił się do Biedrzeńca, aby go tam dziedzic Krzepówka już zastał i przeraził się jego obecnością.

Wędrując na przysiadanego do przejezdnych, przemyślny żyd za dwanaście groszy w ciągu pół dnia i całej nocy przebył ośmiomilową przestrzeń. Nazajutrz więc rano kręcił się już około wielkiego dworu w Biedrzeńcu, niecierpliwie oczekując przybycia swego dłużnika. Ponieważ dnia tego mróz był silny, przeto Gold zmarzł, ale czekał cierpliwie.

Postanowił on sobie bowiem, aby pan Ryszard, wysiadając z sanek, jego pierwszego spostrzegł w biedrzenieckim dworze. Chuchał w ręce, dreptał nogami, a czekał. Służba dworska skwapliwie go badała, co za interes ma do Wyszmońskiego; ale Gold kłaniał się każdemu z wielką pokorą, o długach milczał, dziedzica z Krzepówka pod niebiosa wynosił i nikt się niczego nie mógł od niego dowiedzieć. Był przecież wtajemniczony w stosunki i pragnął ożenku pana Ryszarda, widząc w tem

edyną nadzieję odebrania swej należności. On tylko jednego Wyszmońskiego chciał tajemniczo przestraszyć i nic więcej.

Dopiero przed samym wieczorem zabrzęczały dzwonki na czterych ognistych szpakach i na dziedziniec przed dworem z wielkim rozmachem wpadły sanki dziedzica z Krzepówka, robiąc swym pędem śnieżną kurzawę. Gold się tak ustawił, iż Wyszmoński wyskakując ze sanek, rzeczywiście jego pierwszego spostrzegł. To się żydowi zupełnie dobrze udało. Otulony w niedźwiedzie futro p. Ryszard musiał od sanek do drzwi sieni przechodzić tuż około bladego i stojącego z obnażoną głową Golda.

— A ty znowu czego chcesz tutaj? — Spytał groźnie dziedzic Krzepówka, spojrzeniem swojem piorunując już i tak przestraszonego żyda. Widocznie obecność w tem miejscu wierzyciela nie była Wyszmońskiemu na rękę.

— Jaśnie panie — wybąkał Gold — przychodzę po swoje pieniądze. — Mówił to po cichu, lecz pan Ryszard dosłyszał.

— Aha, dobrześ się wybrał! Bardzo dobrze! Poczekaj tu chwilę, przywitam się z państwem tylko i zaraz do ciebie przyjdę. A odwróciwszy się do stangreta, zawołał:

— Nie wyprzęgaj koni! Niech trochę tylko wytchną, bo za pół godziny pojedziemy! W głosie Wyszmońskiego można było zauważyć, iż panuje nad swem pomieszaniem, czy może oburzeniem.

Rozkaz ten niemało zdziwił stangreta i lokaja, bo pan ich do Biedrzeńca zwykle na kilka dni się wybierał; spojrzeli więc tylko na żyda bardzo niechętnie, jakby się domyślali, iż z jego przyczyny ani oni, ani konie nie użyją wytchnienia.

Tym razem nie wypakowano z sanek waliz, lecz tylko spienione i parą kurzące się szpaki nakryto derami.

Nie wiemy, co tam pan Ryszard robił i mówił w rodzicielskim domu swej narzeczonej, dosyć że w pół godziny potem siedział już na sankach, a naprzeciwko niego, pod sam wiatr, Gold chuchający w ręce i z zziębniętym nosem.

Przez całą drogę dziedzic Krzepówka był nadzwyczaj uprzejmy i co chwila zapytywał żyda, czy mu aby nie zimno.

— Ledwie żyję, jaśnie panie — odpowiadał wierzyciel, który zmarzł nadzwyczajnie.

— To nic, to nic! — Mówił Wyszmoński. — Choćbyś przemarzł jak kartofel, wskrzesić cię potrafię. — A ciągle się tak zachowywał na sankach, aby mroźny wiatr jak najbardziej dokuczał żydowi, Około północy przybyli do Krzepówka.

— Samowar! — Krzyknął pan Ryszard na lokaja, prowadząc za kołnierz ledwie ruszającego się żyda. — Gold przemarzł, trzeba go ratować.

Po kieliszku rumu i w ciepłym pokoju żyd zwolna począł przychodzić do siebie; gdy już mógł mówić, Wyszmoński posadził go w krześle z poręczami, a sam usiadł naprzeciwko niego i, puszczając kłęby dymu z cygara, zapytał:

— Mój Goldeczku, ile ja tobie jestem winien?

— Pięćdziesiąt tysięcy złotych — brzmiała odpowiedź.

— Hm, proszę, ty się bardzo poważnie zaziębiłeś! Masz gorączkę, majaczysz; trzeba cię dobrze rozgrzać.

A potem krzyknął na cały głos:

— Samowar podawać prędzej!...

Wnet się pojawił lokaj, niosąc w obu rękach potężny i kipiący samowar. Za lokajem weszły dwa ogromne dogi, które powitały radośnie pana, liżąc mu ręce; potem poczęły z kolei obwąchiwać Golda i strasznie warczeć.

— Leżeć przy drzwiach! — zawołał pan Ryszard i oba dogi podzieliły natychmiast między sobą straż dwojga drzwi; wyciągnęły się, układając wielkie głowy na przednich łapach.

Tymczasem lokaj podał herbatę w dwóch prawie półkwartowych filiżankach.

— Rozgrzej-no się, Goldeczku! — mówił dziedzic Krzepówka słodkim głosem. — Jestem pewien, że do rana gorączka przejdzie i będziesz zdrów, jak ryba.

Żyd wypił filiżankę herbaty widocznie z wielkiem pragnieniem i przyjemnością, a Wyszmoński kazał mu natychmiast podać drugą.

Lokaj, Idzi, stał niedostępnie przy samowarze i rozkaz pana w tej chwili spełnił. Druga filiżanka również smakowała Goldowi, lecz trzecią pił już powoli.

— Pij-no prędzej! — krzyknął Wyszmoński. — Mam swoje zajęcia i nie mogę wiele czasu poświęcać na uleczenie żyda.

Na ten głos ostry oba dogi z pod drzwi poczęły ponuro warczeć.

Gold się mimowoli obejrzał na jedną i na drugą stronę, spostrzegł dwie pary świecących ślepi, uważnie w niego wlepionych i prawie jednym tchem wypił trzecią filiżankę herbaty.

— Herbaty więcej! — zawołał na lokaja pan Ryszard.

Po czwartej filiżance poszła piąta, szósta i siódma. Przy ósmej Wyszmoński wydobył na stół pugilares, w którym dawały się spostrzegać grubsze bankocetle i zapytał:

— Mój Goldeczku, ile ja tobie jestem winien? Żyd się jakoś zawahał, lecz widok pieniędzy dodał mu otuchy i odrzekł:

— Pięćdziesiąt tysięcy złotych...

— Do krocset, ciągle jeszcze gorączka! — krzyknął pan Ryszard. — Idzi, herbaty dawaj!

Dogi warknęły srogo na ten gniewny głos pana, Gold się wił na krześle, a Idzi podał nową filiżankę herbaty. Jeszcze i tę wychylił wierzyciel; ale, gdy się pojawiła dziesiąta, czuł już w sobie taką pełnię, że, wznosząc wzrok błagalny na dziedzica Krzepówka, wybełkotał:

— Jaśnie panie, nie... mogę!

Na te słowa Wyszmoński nic nie odrzegł, wydobył tylko parę pistoletów, odwiódł u nich kurki i położył na stole, tak, żeby lufy znajdowały się naprost Golda; przytem od czasu do czasu o kurki owe strącał popiół z zapalonego cygara.

Tu dwa psy warczały, straszliwie spoglądając, a tu znowu dwie rury luf pistoletowych zdawały się posiadać równie straszliwą parę oczu. Gold o mało nie zginął w swojem krześle z poręczami. Nie było innej rady, tylko pić herbatę.

— Chcesz, nie chcesz — pomrukiwał pan Ryszard — a ja cię z gorączki uleczyć muszę przez chrześcijański obowiązek.

Gold o mało nie pękał, gdyż wypił już około dwudziestu filiżanek herbaty, a kiedy o piątej rano Wyszmoński znowu zapytał najuprzejmiej:

— Goldeczku, ile ja tobie jestem winien?

Żyd bał się tym razem wyraźnie odpowiedzieć, bąkał ni to, ni owo, coś, jak gdyby nie życzył sobie odebrać długu.

— Herbaty! — wrzasnął zniecierpliwiony pan Ryszard. — On ciągle jeszcze majaczy, na mózg mu poszło, czy co takiego?

— Na co herbaty? — rzeknie żyd, jakby nagle oświecony. — Jaśnie pan mi nic nie winien; niech ja do domu idę... Aj waj!

— No, przecież gorączka przeszła! Ale zdrowie, nie wiadomo, czy jest już dobre... Zobaczymy! — Widzisz, Goldeczku, musisz mi pożyczyć tysiąc złotych koniecznie. Mam być na kilku balach w Krakowie, a pieniędzy mam mało.

— Skąd ja wezmę pieniędzy, skąd? — wołał Gold rozpaczliwie.

— Herbaty! — krzyknął znowu Wyszmoński.

— Tysiąc złotych... Tysiąca nie mam! Jaśnie panie, pożyczę pięćset!...

— Herbaty!

— Aj waj, aj waj! — wśród łez prawie lamentował Gold.

Gdy jednak Idzi postawił filiżankę świeżej herbaty, żyd z rozpaczą wydobył tysiąc złotych i, kładąc je na stole, odezwał się błagalnym głosem:

— Niech mnie jaśnie pan wypuści!...

— Idzi, weź Golda pod rękę i wyprowadź go za bramę — mówił Wyszmoński, wręczając przytem żydowi naprzód przygotowany kwit na sumę złotych tysiąca.

* * *

Jednakże pan Ryszard nie dobił targu w Biedrzeńcu i panna Wągorska wyszła zamąż za kogoś innego.

W sześć lat potem Krzepówek wystawiono na licytację; kupili go do współki dwaj wierzyciele ostatniego dziedzica: Gold i Djament.

Na licytacji było także kilku z okolicznych szlachty i jeden tak się odezwał do drugiego:

— Nosił wilk, ponieśli wilka!

— Jedno mnie zastanawia — odrzekł drugi. — Stary Wyszmoński bił żydów, którzy go oszukiwali i robił majątek; młody Wyszmoński nie bił żydów, lecz ich oszukiwał i stracił majątek.

Z ruchu literackiego.

Żmogas. *Pożary i zgliszcza.* Kraków 1893.

Jak brabancka koronka wytwornym i lekkim jest styl tej powieści, osnutej na tle wypadków z roku 1863. Autor, a raczej autorka, ukrywająca się pod męskim pseudonimem, umie wyzyskać jaskrawe efekta niezwykłych, częstokroć zgoła nieprawdopodobnych sytuacji, w jakie stawia główne osoby, działające w powieści, ukazując je czytelnikom już w obozach powstańczych,

na krwawem polu walki, już w piekle syberyjskiem, lub w dziewiczych lasach wolnej Ameryki. Nie w pobieżnej atoli notatce bibliograficznej miejsce na rozbiór zalet estetycznych i usterek dwutomowego utworu, skreślonego utalentowanem piórem. Celem naszym jest jedynie zaznaczenie tendencji autorki, jej punktu widzenia na walkę narodu o niepodległość. I dlatego ograniczymy się na przytoczeniu charakterystyki głównego bohatera, Aleksandra Swidy, którą podaliśmy w piśmie naszem przed paru laty, gdy „Pożary i zgliszcza" ukazały się w druku po raz pierwszy.

Aleksander Swida, główny bohater „Pożarów i zgliszcz", potrafi oczarować przeciętnego czytelnika urokiem niepospolitych przymiotów ducha i ciała, w jakie go stroi barwne pióro autorki.

W złotawo-brunatnych, sokolich jego źrenicach, nie zamigotał nigdy strach, choć śmierć zaglądała do nich sto razy; nie zapełniły się one nigdy łzą niemęzkiego żalu, bo w chwilach rozpaczy duch jego „rósł, zda się, nad wszystko, co ludzkie i małe". Odarty z praw i mienia, wygnany z kraju, poszedł mężnie sybirskim szlakiem z pieśnią na ustach. Posiada tyle uczuć szlachetnych, że z narażeniem życia ratuje najzaciętszego swego wroga i nie umie się mścić nad bezbronnym. A jednak, mimo wszystkich tych zalet, wydaje się on nam karłem moralnym w zestawieniu z rzeczywistymi bohaterami powstania, których czyny żyją w historji, poezji, legendzie. W duszy bowiem tego człowieka brak struny, ociekającej krwią i łzami, struny, której na imię miłość ideji. Uczucie jego, potężne i silne, skupia się na jednej istocie i nie umie ogarnąć miljonów.

Świda uważa powstanie nie za konieczny protest znieważonego narodu, lecz „za sprawę niepolityczną, nierozważną". Imiona jej członków — zdaniem jego — „przeklęte będą, a nie błogosławione przez następne pokolenia, co przyjdą po nas, (to jest po powstańcach). „Własną ręką podpalamy dom swój, bo nam zimno i ogrzać się chcemy, nie myśląc, że zgliszcza gotujem" — woła Swida patetycznie, a po chwili wygłasza klasyczne kłamstwo historyczne, powtarzane niejednokrotnie przez złe duchy narodu. „Szaleni, opętani! — mówi do powstańców. — Czy wam za karę Bóg rozum odebrał? Czy nie widzicie, że to powstanie popierają sami nasi wrogowie, jako zgubę ostateczną narodu, że zdjęto kordon nad Bugiem, by łatwiej mogli nas agitować emisarjusze z Królestwa, że z fortec dają nam ołów i proch"(?!!). Swida woli pozostać w domu bezczynnym, gdy ziemia zrumieni się krwią, zatętni walką o wolność i czekać na stryczek, jako zdrajca, z rąk bratnich. Łączy się on z powstaniem dopiero na żądanie kochanki swej, Władki, jakoż nie zapomina zaznaczać przy każdej sposobności, że służy, nie sprawie narodu, lecz sprawie owej Władki, „na której rozkaz z równym spokojem wstępowałby w płomienie, wchodził do klatki tygrysa, kładł się na posłaniu ze żwiru". Nawet w chwili ogólnego entuzjazmu, gdy sygnalista daje po raz pierwszy hasło do wymarszu, a powstańcy, wpatrując się w sztandar, ozłocony wschodzącem słońcem, modlą się o dzień bez zachodu dla królewskiego ptaka — nawet w tej chwili Swida tłómaczy zimno towarzyszom, że nie idzie z nimi, lecz za sztandarem, wyszytym ręką Władki, a gdy tego nie stanie — odejdzie.

Zakres pojęć Swidy jest tak ciasny, że nie zdaje on sobie sprawy z lichoty i małości swych ideałów. Co prawda, skądżeby mógł przyjść do tego, kiedy nawet patrjotyczna Władka w chwili ucieczki z Syberji, szepce mu tkliwie: „Wracam do swej podległej roli, z której obym nie była nigdy wychodziła; byłbyś pan w kraju i wolny." A i sama autorka woła z namaszczeniem: „Sąd boży, co strasznym miał być dla katów, Moskali, czy usprawiedliwi tych, co nosili imię Polaków i wysyłali setki ofiar w las po męczeństwo!" A czemżeby były dziś, gdyby nie takie ofiary, Włochy, Grecja, Bułgarja, a nawet my sami?

Znając Swidę, nie dziwimy się wcale, że czuł się zupełnie szczęśliwym, mając przy sobie żonę i dziecko w dziewiczych puszczach Ameryki, podczas gdy ojczyzna wiła się w konwulsjach boleści pod batem mszczącego się najezdcy. „Byli dla siebie krajem, ideałem, wszystkiem." Na pytanie Władki, czy mu się nie śni ziemia rodzinna, Swida odpowiada naiwnie, że śniła mu się w katordze, ale teraz to mu się śni żona, albo dziecko.

A jednak ta ziemia wykarmiła go chlebem swych pól, wykształciła umysł jego miodem i mlekiem dziejowego dorobku i miała prawo, choćby tylko do platonicznej tęsknoty z jego strony. Po za obrębem uczuć osobistych nie istniało dla Swidy nic godnego miłości i gdyby jaki powiew wiatru z ojczystych dolin przypomniał mu opowieść o tragicznym losie bohatera, który kochał bardzo Aldonę, „ale miał duszę szlachetną: szczęścia w domu nie znalazł, bo go nie było w ojczyźnie", toby nazwał zapewne Alfa — tak, jak nazywał powstańców — niepolitycznym szaleńcem.

Autorka rozmija się z prawdą w „historycznej" swej powieści, przeistaczając granitową postać Trauguta w marzycielskiego Kazimierza Swidę, brata Aleksandra, stokroć cięższym atoli grzechem z jej strony jest przedstawienie chłopów jako dzikiej „zgrai", mordującej powstańców z większem niż Moskale okrucieństwem, „rozcinającej im ciało i zasypującej rany siekaną sierścią". Patrjotyczna ludność litewska, która z takim zapałem walczyła o wolność ojczyzny, podczas gdy bohater pana Żmogasa nazywa „złodziejami" powstańców, którzy mu wzięli konia na potrzebę krajową; ludność, która złożyła tyle dowodów męztwa pod dowództwem chłopów: Bitisa, Łukaszunasa, Pujdaka, oraz w obozach Sierakowskiego, Narbutta, ks Mackiewicza i innych, nie zasłużyła chyba na takie oszczerstwo. Ale męczeńskie cienie chłopów, poległych na polu walki, lub skazanych na powolne konanie w lochach Sybiru, przebaczą wspaniałomyślnie autorce, która „nie wie, co czyni".

M. W.
